Nr. 45 Rok 2 Kraków, dnia 9 listopada 1941. 40 gr.

Ilustrowany KU OLSKI



HANKA I JAGUSIA WYSZŁY Z KOŚCIOŁA, MOGĄ SIĘ WIĘC ZNOWU ŚMIAĆ.

Fot. Borek — I. K. P.





WYSTAWA ANTYSEMICKA W PARYŻU
W Paryżu otwarto ostatnio wielką wystawę pod hasłem „Żyd we Francji". Na naszej ilustracji widzimy członków francuskiego związku młodzieży, zwiedzających wystawę.

RAMADAN W PARYŻU
W meczecie paryskim obchodzili mieszkający w Paryżu mahometanie święto Aid-Es-Seghir, będące zakończeniem okresu postu Ramadan. S. E. Si Kaddour opuszcza meczet ze swoją świtą.





PIERWSZY ŚNIEG W ROSJI
W środkowym odcinku frontu wschodniego spadły już pierwsze śniegi. Ale i one nie mogą powstrzymać posuwania się naprzód wojsk niemieckich i sprzymierzonych, jak to podają najnowsze komunikaty. Obecnie stoją wojska niemieckie przed centrum przemysłowym pod Tułą, podsuwają się więc coraz bardziej pod Moskwę. Powyżej widzimy toaletę ranną niemieckiego żołnierza myjącego się śniegiem z powodu braku wody, na prawo zaś posuwają się żołnierze na sankach dalej.



UCIECZKA Z ROSTOWA
Po wzięciu przez wojska niemieckie Taganrogu położonego nad M. Azowskim, zaczęły wojska sowieckie zaraz uciekać z zagrożonego poważnie Rostowa, ścigane przez wojska niemieckie i rumuńskie. W międzyczasie wtargnęły wojska niemieckie i rumuńskie na półwysep Krym, gdzie wzięto wiele jeńców i zdobyto lub zniszczono wiele materiału wojennego. Bolszewikom uciekającym na okrętach zamknęły drogę samoloty, które zatopiły kilka okrętów załadowanych wojskiem.

Fot. Ass. Press 8
Scherl
Atlantic

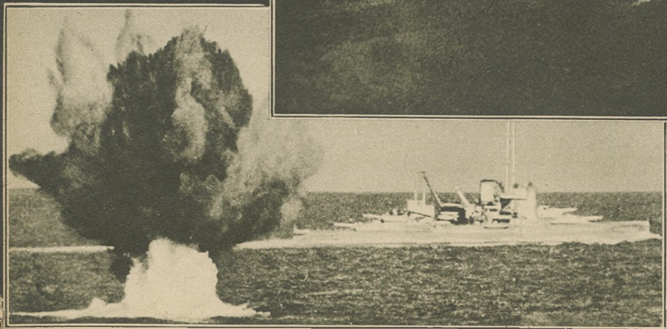
ATAK LOTNICZY NA KRONSZTAD





Bezustannie jest Kronsztad stanowiący dojście od strony morza do Leningradu celem niemieckich ataków lotniczych. Powyżej widzimy sowiecki krążownik torpedowy trafiony przez niemiecki samolot Stuka, zaś na zdjęciu u góry chmury dymu z luf artylerii przeciwlotniczej w zatoce Kronsztadzkiej.

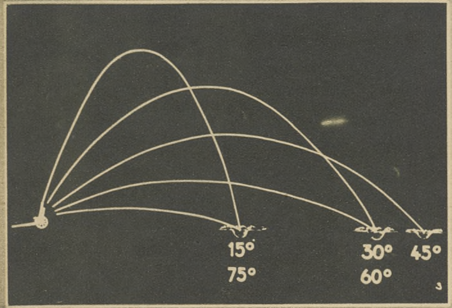




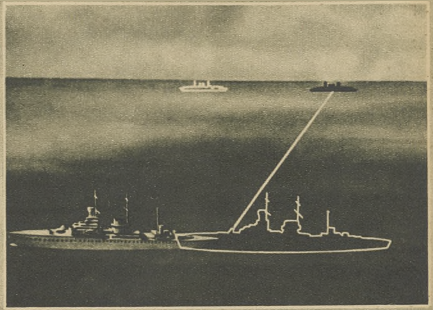
„WARSPITE" USZKODZONY
Dopiero teraz wydała cenzura marynarki angielskiej zdjęcia brytyjskiego okrętu wojennego „Warspite" będącego w naprawie w dokach amerykańskich. Nasze zdjęcie wykonane zostało z innego okrętu brytyjskiego podczas ataku samolotów niemieckich przed Kretą i pokazuje bomby niemieckie padające tuż przed okrętem.

Zdjęcie powyżej daje pełen wyrazu obraz skuteczności niemieckich samolotów bombowych na port Kronsztad. Wszędzie wzbijają się w niebo wysokie chmury a także ten sowiecki okręt wojenny na pierwszym planie otrzymał kilka ciosów.

Krzywe balistyczne przy różnym kącie nastawienia działa. Najlepsza nośność przy 45°. Cele leżące w mniejszej odległości można trafić przy strzale bardziej prostopadłym lub poziomym.



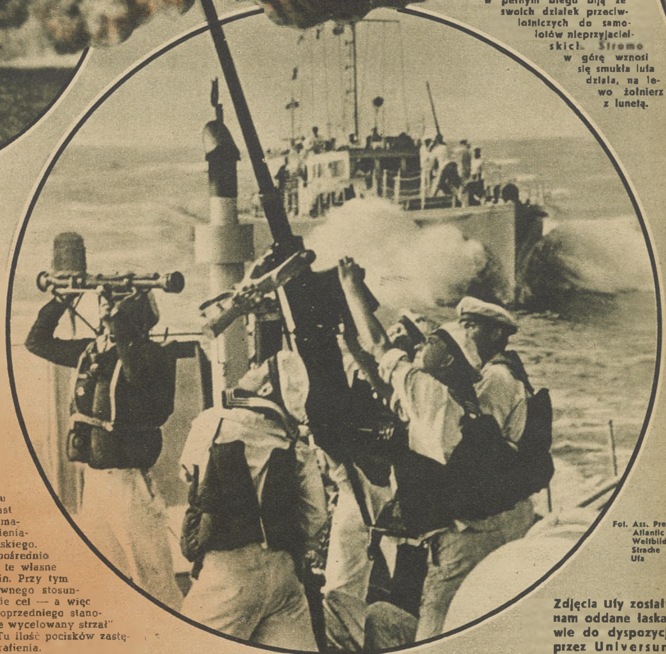
Przy celowaniu należy wziąć pod uwagę jazdę nieprzyjaciela. Im bardziej nieprzyjaciel jest oddalony, tym bardziej powinien kanonier wymierzać cel.



Strzał i Cel



W pełnym kursie strzela ten włoski ciężki okręt wojenny ze wszystkich luf na krążownik angielski. Jest rzeczą zrozumiałą, że celowanie z płynącego statku i trafienie w cel również pływający wymaga przy niespokojnym morzu szczególnej uwagi i pewności.



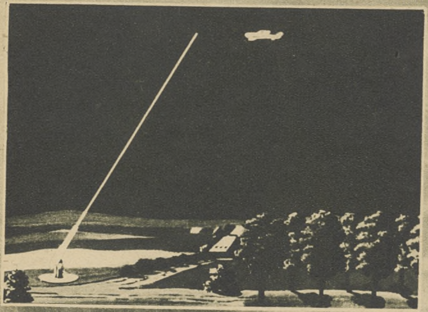
Poszukiwacze min znajdują zastosowanie także i w artylerii przeciwlotniczej. Na naszym zdjęciu niemieckie usuwacze min w pełnym biegu biją ze swoich działek przeciwlotniczych do samolotów nieprzyjacielskich. Stromo w górę wznosi się smukła lufa działa, na lewo żołnierz z lunetą.

Strzelać i trafiac są to dwie rozne rzeczy. W starej pieśni żołnierskiej mówią nam o tym słowa: „Nie każda kula trafia". Jest to stwierdzenie laika, praktyczne doświadczenie, które jednak nauka potwierdza, gdyż wiele kul oddanych nawet z karabinu silnie unieruchomionego i o ustalonym celu wykazują odchylenia od toru swego biegu. Przy karabinie używanym przez piechotę i myśliwskim tego rodzaju odchylenie jest stosunkowo najmniej dostrzegalnym i ważnym. Chybione strzały można tu wytłumaczyć przez nieprawidłowe trzymanie karabinu przez strzelca. Te „drobne przyczyny", które prowadzą do nieznacznego zboczenia od toru pocisku dającego się z matematyczną ścisłością wyznaczyć przy karabinie używanym przez piechotę, wywierają w rzeczy samej „znaczne skutki" na pociski artylerii. Jako przyczyny powodujące niecelność strzałów należy wymienić: niejednolity skład prochu i wagi pocisku, różnice przy ładowaniu i celowaniu, temperaturę powietrza, wilgotność, wiatr itp. Wpływy te przy nowoczesnej technice strzału są poniekąd eliminowane przez pomiary. A jednak w nowoczesnej wojnie trudności dokładnego trafienia celu wyolbrzymiają się nieskończenie. Tak np. okręt marynarki wojennej oprócz własnego ruchu strzelającego okrętu musi uwzględniać jeszcze ruchy naprzód i w bok okrętu nieprzyjacielskiego. Działo przeciwlotnicze jest natomiast przytwierdzone mocno do ziemi, musi ono jednak prócz manewrów ruchomego celu na boki, uwzględniać także zmieniającą się ustawicznie wysokość samolotu nieprzyjacielskiego. Skomplikowane przyrządy miernicze przymocowane bezpośrednio do karabinu zapisują ustawicznie podczas ataku i obrony te własne poruszenia się celu i przenoszą je bezpośrednio na karabin. Przy tym należy jeszcze uwzględnić i to, że pocisk potrzebuje pewnego stosunkowo długiego czasu na dojście do celu, a w międzyczasie cel — a więc pewien samolot — oddala się o setki metrów od swego poprzedniego stanowiska. Musi go więc wyprzedzać. Widzimy więc, że „dobrze wycelowany strzał" nie daje jeszcze w żadnym wypadku gwarancji trafienia. Tu ilość pocisków zastępuje absolutną dokładność i daje prawdopodobieństwo trafienia.

Fot. Ass. Press Atlantic Weltbild Strache Ufa

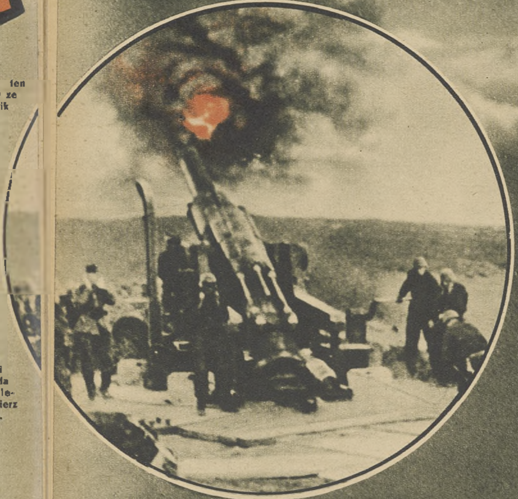
Zdjęcia Ufy zostały nam oddane łaskawie do dyspozycji przez Universum Film A. G. Berlin.

Również im wyżej samolot leci, tym lepiej musi kanonier mierzyć.



Ciężka artyleria niemiecka bije na Leninigrad. Na prawo widać kanoniera, który z liną w ręce doprowadza działo do wystrzału. Pozostali żołnierze obsługi działa zatykają sobie uszy, aby osłabić działanie huku na bębenki uszne.







Podczas lotu na Anglię rozpoznają niemieckie bombowce nieprzyjacielskie frachtowce w Kanale. Jak ptaki drapieżne spadają pojedynczo na te wielkie okręty, aby z nieznacznej wysokości ostrzeliwać je swoją bronią pokładową. Ponad kadłubem widać wyraźnie załogę.

REFLEKSJE ZADUSZNE

To było tak niedawno. Rok temu. Szliśmy na cmentarz na grób Twojej matki. W ręku trzymałem białe jak śnieg chryzantemy a Ty tuliłaś się drżąca do mego boku. Byłaś jakaś inna niż zwykle. Gdy popatrzyłem na Ciebie, nie wiem dlaczego, wydałaś mi się podobna do tych chryzantemów białych owarzonych jesiennym chłodem.

I Ty widocznie dostrzegłaś w sobie jakieś zmiany. Spojrzałaś mi prosto w oczy i uśmiechnęłaś się, ale to nie był ten Twój codzienny dobrze mi znany uśmiech. Przytuliłaś się wtedy silniej jeszcze do mego boku i szepnęłaś: — Kochany...



I już nic więcej nie powiedziałaś mi tego dnia, chociaż długo siedzieliśmy na cmentarzu. Wsłuchiwałaś się tylko w szmer spadających z drzew ostatnich liści i patrzyłaś na dogasające na grobie Twej matki światła.

* * *

— Więc nie ma już ratunku?! Więc to już koniec?!!

Jak opętany wybiegłem na ulicę. Skronie paliły mnie jak rozpalone żelazo, piersi darł w strzępy jakiś niewysłowiony ból a usta bezwiednie szeptały:

— To już koniec... To już koniec...

Pamiętam, że był śnieg i biało na dworze jak wówczas w dzień Zaduszny od chryzantemów na cmentarzu. A potem czerń i pierwsza grudka rzuconej na Twą trumnę ziemi...

* * *



I dziś jak rok temu wezmę ze sobą białe chryzantemy i pójdę na cmentarz. Tylko Ona nie będzie już szła ze mną i tuliła się do mego boku.

Jest taki sam dzień jak przed rokiem. Tak samo tlą się resztki słońca, tak samo lecą pożółkłe liście z drzew i tak samo melancholijnie zawodzi wiatr.

Usiądę na małej ławeczce, położę na mogile kwiaty i tak jak ona przed rokiem przy grobie swej matki siedziała, trwał będę bez ruchu...

A gdy zapadnie zmrok i na czarnym sklepieniu nieba zabłysną tysiące gwiazd i czas będzie odejść mi od Niej — na pożegnanie powiem: — Kochana...

Zygmunt Bokula-Mularski

KRÓL SIAMSKI

Wspomnienia

Przed wielu laty — jako student Sorbony w Paryżu — byłem świadkiem przyjęć i wycieczek urządzanych przez rząd francuski na cześć Sisowata, króla Siamu.

A wszędzie można było go spotkać. W galeriach Luwru, w lasku Bulońskim, na wieży Eifel, w ogrodzie zoologicznym, na wyścigach, w cyrku. Egzotyczny monarcha używał na całego rozkoszy Paryża i cieszył się wszystkim jak dziecko.

Ciemnoskóry oryginał. Correct do pasa, we fraku, w krawacie, w sztywnym kołnierzyku, nie dał się namówić za żadne skarby świata na włożenie dolnej części frakowego garnituru. Kolorowa jedwabna chustka przeciągnięta pomiędzy nogami zastępowała mu listek figowy.

Natomiast harem — złożony z kilkudziesięciu siamskich piękności z rozpłaszczonymi nosami — ukostiumowany był wręcz odwrotnie. Hurysy, nagie do pasa, gubiły resztę ciała w olbrzymich bufiastych szarawarach i wzbudzały podziw w paryskich voyoux.

Poczucie sprawiedliwości było główną zaletą króla.

Gdy na oficjalnym przyjęciu u prezydenta Falier'a zaprezentowano mu kilkanaście pań z arystokracji — pomiędzy którymi była markiza de la Vieille-Tour — (dosłownie „stara wieża") Sisowat spojrzał krytycznym okiem na wdzięczące się damy i rzekł:

— To jest bardzo niesprawiedliwe! Wszystkie są brzydkie i podeszłe w latach, a tylko tę jedną przezywacie „stara"...

A gdy przyszła kolej na hrabinę Colonna Walewską wytrzeszczył zdumione oczy.



— No, no — kiwał głową — muszę przyznać, że pani — jak na kochankę Napoleona I-go — jest wcale nieźle zakonserwowana...

Był oczytany.

I spytał się po chwili mistrza ceremonii:

— A gdzie są wszystkie wasze młode kobiety, że żadnej nie widzę?

— Alez są tutaj. Te dwie na kanapie są bardzo młodziutkie. Pierwszy występ w świecie. I tamte trzy pod żyrandolem również. I ta w białej sukience...

Lecz monarcha nie dawał się przekonać.

— Żal mi was — westchnął. — I wy takie baby nazywacie młodymi kobietami! U nas młoda kobieta nie powinna mieć więcej nad dziesięć lat.

Przy zwiedzaniu katedry Notre Dame oprowadzający go kanonik — zgorszony licznym haremem — zaczął przekonywać Sisowata o niemoralności wielożeństwa.

— Nie rozumiem co Kanonik chce przez to powiedzieć. Cóżbym ja robił z jedną? Wytykanoby mnie palcem jako impotenta. Przyzwyczajony jestem do pięciuset żon i więcej...

— Można by się odzwyczaić po trochu — zadrwił ksiądz. — Ograniczyć się najpierw do stu, potem do pięćdziesięciu...

— Czemuż od razu nie celibat i śluby czystości...

Hazet

PIĘKNY SEN

W węgierskim mieście S. stanął przed sądem pewien stary człowiek wnosząc prośbę o rozwód. Żona jego jednak od czterech lat już nie żyła. Kiedy mu odpowiedziano, że wobec tego stanu rzeczy nie sposób przeprowadzić postępowania, nie odstąpił od swego zdania i podał powody swej prośby. Lajos R. ożenił się przed czterdziestu laty ze swoją żoną z miłości i nigdy tego nie pożałował. Małżeństwo pozostało bezdzietne. Przy porządkowaniu papierów pozostałych po zmarłej, znalazł kasetkę z 200 listami, z których przekonał się, że jego żona przez pierwszych 20 lat małżeństwa oszukiwała go z wielu innymi mężczyznami. Dwóch z tych ludzi, obecnie już zmarłych, było nawet jego dobrymi przyjaciółmi a trzeci jego podwładnym. Jego życzenie stało się więc dla sędziów zrozumiałe, ale nie dało się urzeczywistnić.



TYSIĄCE IDĄ ZA DUDZIARZEM

W Montanie, jednym ze stanów Ameryki Północnej pojawiła się niezwykła ilość skunksów, zwierząt należących do rodziny borsuków, o bardzo wartościowym futrze. Wystąpiły one tam w takich ilościach, że stały się wielką plagą dla mieszkańców. Ponieważ zwierzęta stanowiły poważne niebezpieczeństwo dla zapasów żywności, zwrócili się mieszkańcy do władz z prośbą o uswobodzenie od nieproszonych gości. W odpowiedzi nadszedł jedynie zakaz zabijania zwierząt pod surową karą. Nadaremnie mieszkańcy sami wyszukiwali najrozmaitsze środki, by pozbyć się intruzów. Pewnego dnia nadeszło wreszcie nieoczekiwane rozwiązanie trudnego problemu w postaci starego dudziarza. Wędrował on od wsi do wsi, by grą na dudach zarobić na życie. W wędrówce swej zaszedł on i do stanu nawiedzonego przez skunksy. Zaledwo zabrzmiały pierwsze tony, gdy zaczęły wychodzić ze wszystkich stron skunksy i otoczyły dudziarza. Kazano dudziarzowi dąć bez przerwy w dudy i obchodzić każdy dom i całą wieś oczywiście za dobrym wynagrodzeniem. I oto oczom mieszkańców wsi przedstawiło się niesamowite widowisko. Tysiące skunksów otoczyło grajka i opuściło wieś idąc za nim całe kilometry.

NAJKRÓTSZY UTWÓR DRAMATYCZNY

Podczas pewnego konkursu, urządzonego przez pewne amerykańskie czasopismo na temat „najkrótsza opowieść dramatyczna" uzyskała pierwszą nagrodę następująca historyjka: Elvira Parker otrzymała telegram od swego brata, który razem z jej mężem polował na dzikie zwierzęta w Afryce. Telegram brzmiał: „Bob zginął na polowaniu na lwy. Fred." Elvira złamana bólem odtelegrafowała: „Przyszlij zwłoki. Elvira." W kilka tygodni później nadeszła z Afryki ogromna skrzynia-klatka. Wewnątrz znajdował się lew. Elvira przerażona zatelegrafowała do Afryki: „Lew nadszedł. Pomyłka. Przyszlij Boba." Niedługo nadeszła odpowiedź: „Nie ma pomyłki, Bob we lwie. Fred."



KTO WINIEN?

Przed sądem okręgowym w pewnej miejscowości w pobliżu Budapesztu odbyła się niedawno interesująca rozprawa. Mleczarz z pobliskiej wioski miał się usprawiedliwić z zarzutu oszustwa. Dawał on stale pewnemu klientowi zamiast 1 kg tylko 900 gr. Oskarżycielem był piekarz z tejże wioski. — Panie sędzio — przemówił oskarżyciel — jest to bardzo smutną oznaką, że już w naszej wiosce zaczynają ludzie oszukiwać. Dotychczas robili to tylko żydzi. Masło jednak, które codziennie od oskarżonego kupowałem ważyło faktycznie tylko 900 gr. Mogą to świadkowie potwierdzić. — Gdy ci ten stan rzeczy zgodnie zaświadczyli, otrzymał głos oskarżony. — Ależ ja wcale nie chciałem oszukiwać — powiedział on — tylko ciężarek jednokilowy gdzieś mi się zapodział. Ponieważ nie mam drugiego, używałem jako odważnika jednokilogramowego bochenka chleba, który co dzień kupuję u oskarżyciela. Jeżeli waży on tylko 900 gr, nie jest moją winą. Na obliczu oskarżyciela odmalowało się pewne zaskoczenie, gwizdnął przez zęby i cofnął skargę. — Jeżeli sprawa tak się ma — powiedział szybko, — to nikt nie jest winien.



NA MARGINESIE WYDARZEŃ

W ramach przeglądu wojsk w Arles odznaczył admirał Darlan generała Dentza odznaką honorową wielkiego oficera legii honorowej i krzyża wojennego z palmami.

Na marginesie wydarzeń



KRÓLEWICZ JAPOŃSKI PŁYWA

W kole widzimy ośmioletniego następcę tronu japońskiego Akihito Tsugu-No-Miya pływającego w Oceanie Spokojnym.



WIELKI MUFTI JEROZOLIMY WE WŁOSZECH

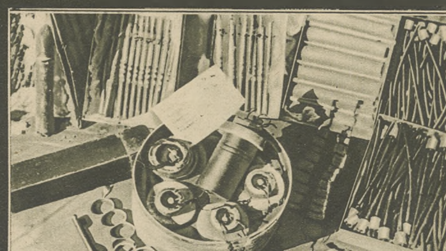
Poszukiwany przez Anglików bojownik wolności Arabii, wielki mufti Jerozolimy znajduje się we Włoszech.



KRÓLOWA-MATKA RUMUŃSKA HELENA

odwiedza żołnierzy rumuńskich, rannych w wojnie z bolszewikami.

Fot. Ass. Press 3, Scherl, Atlantic



BAGAŻ DYPLOMATÓW ANGIELSKICH

Jak w innych stolicach, tak i w Belgradzie znaleziono w gmachu poselstwa brytyjskiego skład materiałów wybuchowych, maszyn piekielnych i inną broń.

UWAGA! FOTOAMATORZY!

Nasamprzód jedna uwaga: otóż czasem zdjęcie lepsze umieszczone jest na miejscu drugim. Podyktowane to jest względami technicznymi. Tak jest też i w dzisiejszym naszym kąciku. — „Wiewiórka i słonecznik". — Fotografowanie zwierząt nigdy nikogo nie rozczarowało. Wielką pomocą jest tutaj to, że zwierzę nie potrafi pozować. W wypadku, gdy zwierzątko jest oswojone, jak wiewiórka na naszym zdjęciu lub wiewiórki z plant krakowskich, sprawa jest tym łatwiejsza. Wtedy można zdjęcie bardziej „opracować", odczekać na dobre światło itd. Podpatrywanie życia ma natomiast tę wielką zaletę, że wychodzi ono na zdjęciu zupełnie naturalnie, nieraz jednak szwankuje przy tym światło, i strona techniczna. Nasze zdjęcie należy do zdjęć obmyślanych, strona techn. pozostawia pewne życzenia. Wykonał je p. Greczyło Z. z Krakowa, ap. Dollina, czas [illegible]. „Spojrzenie do ogrodu klasztornego". Miłe zdjęcie fotoamatorskie, rozdzielenie płaszczyzn oświetlonych lepiej i gorzej, a więc jaśniejszych i ciemniejszych, jest doskonałe. Postać zakonnika w ciemnym habicie na jasnym tle okienka ożywia cały obrazek nie odbierając mu przy tym spokojnej harmonii. Jest rzeczą jasną, że nie jest to zdjęcie „podchwycone", lecz doskonale przemyślane, przy czym p. Jerzy Strzelecki z Piotrkowa miał dobre wyczucie, co może być ładne fotograficznie. Bliższych danych o tym zdjęciu nad wyraz udanym nie wiemy, gdyż autor jego nie liczył się z tym, że pójdzie ono do numeru.





Polowanie na „Niebieskiego lisa" w Krakowie

Mówi się zazwyczaj, że artysta sceniczny „dobrą zrobił maskę", że jest dobrze ucharakteryzowany. Oczywiście dotyczy to tylko artystów drugiej klasy, najlepsi nie „grają" swej roli, lecz po prostu pozwalają publiczności być świadkami scen z życia.

Takich właśnie artystów mieliśmy sposobność oglądać ostatnio w kapitalnej sztuce węgierskiego autora Herczega „Niebieski lis". Profesor i uczony węgierski ma za żonę Ilonę, kobietę niezwykłą, która jest mu raczej dobrym przyjacielem. Mimo że zajęty pracą naukową, zdaje on sobie jednak doskonale sprawę z jej uczuć i doskonale zna jej naturę. Prawdziwym przyjacielem ich obojga jest Tibor, który kocha Ilonę i którego ona również kocha. Na tle zazdrości Tibora, który Ilonie zarzucił zdradę męża, dochodzi do rozwodu, gdyż Ilona nie broni się z postawionego jej zarzutu. Na czas sprawy rozwodowej, wyjeżdża Ilona i Tibor, nie wiedząc jedno o drugim. Kiedy sprawa rozwodu została już załatwiona, profesor odwołując się do przyjaźni Tibora prosi go, by w jego imieniu omówił warunki z Iloną. Oboje spotykają się znowu w domu profesora, który w międzyczasie ożenił się ze swoją siostrzenicą Izą, niepodobną pod żadnym względem do Ilony. W toku rozmowy rozwiązuje się splot powikłań, mimo że Ilona i dalej nie tłumaczy się. Oboje kochający się mogą nareszcie zacząć wspólne życie.

Junosza-Stępowski to nie tylko wspaniały artysta o niezwykle finezyjnej grze, jest on przede wszystkim niezwykle miłym i dobrze znanym wszystkim amatorom sceny człowiekiem. Któż nie zna tej miłej, jakże inteligentnej i charakterystycznej twarzy, tych oczu spoglądających z pewnym pobłażaniem na świat, takich wiele wiedzących, tego uśmiechu, który umie przechodzić całą gamę nasilenia, stając się od złośliwego, poprzez lekceważący do współczującego i wyrozumiałego? Zresztą w Warszawie nie mówi się „Stępowski" tylko po prostu „Junosza" z taką pewną koleżeńskością, jakkolwiek mówiący nigdy nie byli artystami. Gdy się Junoszę widzi w kawiarni, na ulicy, to nawet ten, kto go nie zna osobiście, uśmiecha się sympatycznie, jakby zobaczył starego przyjaciela, którego dawno nie widział. A ile anegdot, ile różnych szczegółów z życia tego wspaniałego artysty krąży wśród ludzi!

Popełniliśmy mimo woli pewien „faux pas" mówiąc najprzód o Junoszy a dopiero na drugim miejscu o Marii Malickiej. Nie stało się to bynajmniej z jakiejś antypatii do płci pięknej. Zdaje się nam tylko, że kobiety zachowują zawsze, zwłaszcza w czasach wojennych, silniejsze stanowisko, lepiej sobie dają radę i pozostają bardziej na widoku niż mężczyźni. Wobec tego trzeba tamtych postawić na pierwszym miejscu, aby im dać pewien ekwiwalent. Nikt nie posądzi nas więc, że Maria Malicka nie oczarowała nas jak to już było tyle i tyle razy. Z przyjemnością nawet stwierdziliśmy, że mimo wojny i mimo dwóch lat niewidzenia jej nie straciła nic na swoim wrodzonym uroku, nie mówiąc już że maestria jej gry jest taka jak zawsze. Rola Tibora grana przez znakomitego artystę Bendę zawiera tyle finezji i wymaga tak bogatej skali ekspresji, że staje się niemal centralną osią akcji. Co tu zresztą jeszcze powiedzieć — skoro pięcioro artystów i ich gra dałaby możność napisania o sztuce scenicznej o grze aktorskiej, o różnych finezjach całą rozprawę. Zamiast tego życzymy naszym Czytelnikom, aby mogli być obecni przy tej uczcie scenicznej jakiej byliśmy świadkami.

Fot. Borek — I. K. P.



Maria Malicka, grająca w „Niebieskim lisie" rolę Ilony, w pierwszym akcie.



Powyżej: Scena przedostatnia komedii, w której zaczyna się rozwiązywać los dwojga kochających się od dawna ludzi.



Karol Benda, prawdziwy przyjaciel domu, kochający równocześnie Ilonę.



Kazimierz Junosza-Stępowski w roli wyrozumiałego na wszystkie słabości ludzkie profesora, męża Ilony, później Izy.



W kole obok: Zofia Niwińska jako siostrzenica Iza i Kazimierz Junosza-Stępowski jako profesor i wuj w akcie pierwszym.



Nasi artyści na tle Barbakanu w Krakowie. Od lewej: Karol Benda, Maria Malicka i Zofia Niwińska. I w deszczowy, pochmurny dzień jesienny wnoszą oni sobą dużo światła i ciepła.



MORZE

Powieść Bozo Lovrica

Powieść z życia dalmatyńskiego

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

Motto: Któż oprze się morzu, kiedy niebezpieczeństwo słodsze jest sercu ludzkiemu niż bezpieczne życie w przystani?

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

Owej jesieni nie miały jakoś obłoki ochoty przesłonić słońca. Wprawdzie z pierwszą zorzą ukazywały się na niebie, lecz zaraz rozpędzał je wiatr, skoro tylko wzeszło słońce.

Nawet późną wiosną nie grzało słońce silniej owej ostrej gromady skał, co się przeglądały w spokojnym morzu.

Na szczycie skały, na kształt małej wieży, wznosił się trójpiętrowy dom z małymi oknami, podobny więcej do latarni morskiej niż do mieszkania ludzkiego. Po murach poczerniałych od dymu, deszczy i niepogód rozgałęział się bluszcz, a w małych oknach w pękatych garnkach bujały i kwitły południowe kwiaty.

Prosto przed domem, aż do samego wybrzeża, ciągnął się warsztat okrętowy, na którym od rana do zmroku rozlegały się uderzenia siekier. Raz błyskał w słońcu młot, raz ostrze siekiery, raz znowu piła, a za błyskiem słychać było uderzenie lub okrzyk robotników. Dwóch majstrów, dwóch budowniczych statków dozorowało ich i zachęcało leniwszych, by się jęli narzędzi. Budowniczymi byli bracia Kuzmanićowie, niegdyś marynarze, a gdy im się rozbił ostatni statek, wyrzekli się żeglugi i wybudowawszy ów dom na skale, zamieszkali nad brzegiem. Największą dla nich radością było, gdy w morze spuszczali nowy statek. Gdy na świeżo ochrzczonej łodzi po raz pierwszy wzniosły się żagle i jakby bojaźliwie zadrżały na wietrze, w ich jasnych oczach budziła się znowu tęsknota za morzem i za nieznanymi lądami. W burze, wichry, w śmierć! Któż opisze bicie serca marynarza, gdy wśród morskiej toni, zagłuszony uderzeniami fal i rozszalałego wiatru, zapatrzy się w dal trzymając nad oczyma zgiętą dłoń! Marynarz w tej chwili, choćby był i najprostszym człowiekiem, płynie w wieczność i od niego życie i śmierć bardziej są oddalone niż ów ląd, którego jego oczy bezskutecznie szukają. Och, żebyż mu było dane odkryć nowe, jeszcze łodzią nie przebrnięte morze i dotrzeć do niewidzianego kraju!

Ale silne uderzenie młota ocknęło braci jak konia ostroga. Ze zdwojoną gorliwością, jakby chcieli wynagrodzić stracony czas, rzucili się do nowych, dopiero napoczętych, albo napoły dokończonych łodzi. Tu koło nich, na ogromnych rusztowaniach i pomostach wznosiły się statki rozmaitej wielkości, a szkielety ich i białe żebra przywodziły na pamięć bajeczne potwory, co jeszcze przed potopem pustoszyły ziemię. Pod tramami płonął ogień, a zaczerwienione i opalone żebra gięły się pod uderzeniami młota. Boki nowych łodzi stawały się coraz bardziej cienkie, bardziej gibkie i bracia majstrzy widzieli już w myśli, jak ostry dziób tnie morskie fale. Na obłych bokach robotnicy przymierzali na pół zgięte deski, a gdy miara była dobra, przytwierdzali je do żeber łodzi wielkimi gwoździami. Padały uderzenia, a z otartych narzędzi sypały się iskry, by w tej samej chwili gasnąć w blasku słońca.

W pośrodku warsztatu wznosiły się dwa wysokie trawersy, do których żelazami przytwierdzone były grube pnie. Na pniach wyciągnięte były równe linie, po których miała iść piła. Dwóch robotników, jeden na pniu, a drugi pod nim, trzymało piłę, która rżnęła drzewo, a ze szpar sypały się trociny, padając na ich włosy i plecy. Gdy się piła zacinała, ocierali ją łatką i mazali oliwą jej ostre zęby, by mogła lepiej gryźć. Odpiłowaną deskę odnosili inni robotnicy i pod świecącym i ciężkim narzędziem wnet pokrywała albo bok albo wierzch niedobudowanej łodzi.

Ogień ciągle płonął. Wielkie snopy żółtej kocanki trzaskały pod żelaznymi kotłami, w których gotowała się i topiła smoła. Gdy robotnicy rzucali na ogień nowy snop, przygasał płomień, ale tylko na chwilę, bo prawie w tym samym momencie z drugiej strony lizał gorący język, owijając boki kotła. Wiatr to podniecał, to przytęsknił płomień, a od pachnącego i gęstego dymu padał cień na robotników, na kocioł i na ogień. Gotowaną smołą nacierali robotnicy boki łodzi, a swąd czarnej smoły rozszerzał ich piersi. Pod smołą niknęły wszystkie pęknięcia i nierówności, a deska z deską mocniej się wiązała, jakby już teraz opierały się wdzieraniu rozuzdanych fal.

W oczach majstrów znowu budziła się tęsknota za morską tonią. Z miłości do morza wybudowali też bracia Kuzmanićowie i dom na skale. Wznosił się on w czystym polu i ze wszystkich stron swobodnie weń uderzał wiatr. Nie stał w zaciszu jakiegoś drugiego domu albo większej skały, a jedyną jego obroną były grube kamienne mury. Fundament dla niego założyli w żywej skale, którą z ciężkim trudem zryło żelazo i proch. Z odwalonych skał najemnicy i murarze wyciosali materiał na dom, co z fundamentem zrósł się jakby same mury wyszły i wyrosły ze skały. Przed nim roztaczał się widok na toń morską i na wyspy, co w nieprzerwanym łańcuchu niżały się w fiołkowej dali i potem stopniowo niknęły na krańcu horyzontu.

Gdy na pełnym morzu szalała burza, bracia Kuzmanića słuchali chciwie, jak drżą szyby w oknach i jak cały dom trzęsie się w posadach. Rzekłbyś: wszystko rozniesie siła nawałnicy. W mroku, oparłszy się o okno, długo patrzyli w noc i gdy bystre ich oczy odkryły w dali światełko łodzi, silniej uderzało im serce. Gdyby nawet ta łódź niosła im kochaną kobietę, nie byliby bardziej poruszeni! Docierał do nich świst wichru i wśród szumu i grzmotu bałwanów coraz bardziej i bardziej zapominali, że są pod mocnym dachem. Każde nowe uderzenie albo huk bałwanów unosił ich daleko od lądu. Również i owa lampka oliwna przed obrazem, co migotając rozjaśniała lice Bogarodzicy, przypominała im owe zakopcone, wyblakłe święte obrazy, przed którymi dniem i nocą paliła się wisząca lampka na statku. Jedyną ich modlitwą w te burzliwe noce było: „Zmiłuj się, Boże, nad tymi co są w drodze i daj im szczęśliwie dotrzeć do przystani!"

II.

Gdyby Nikola, jedynak Kuzmanića, wybujał nawet jak cyprys, nie zdobiłaby go piękniejsza postać. Młodość jego wybujała w słońcu, nie hamowana ni wychowaniem ni nauką. Wszystko co obejmował okiem i dosięgał ręką, było jego. Najwonniejsze kwiaty kwitły dla jego powonienia, najsłodsze jagody dojrzewały dla jego ust, a najzimniejsza woda ciekła, by ugasić jego pragnienie.

I ryby pływały w morzu i ptaki latały w powietrzu, by wzbogacać jego łup.

Nie było dziury na brzegu, ni jamy w górze, ni chłodu w lesie, którym by do głębi nie zaglądnął Nikola i gdzie by w cieniu nie zasypiał zmęczony. Widziały go groty i pieczary, znały go zacisza i strychy, pamiętali go rybacy i robotnicy polni i nikt nie odmawiał mu schronienia, ani nikt nie patrzył nań krzywym okiem. Dla Nikoli cały kraj, jaki się rozpościerał od ich domu przez górę do morza, był miejscem próżniaczenia, po którym włóczył się od rana do zmroku, wygrzewając się na słońcu i radując się każdej trawce i zwierzęciu, jakie na tej drodze widział lub spotykał.

Cały żar lata płonął w jego oczach, a rdza jesieni burzyła mu krew, która burzliwie płynęła w jego nabrzmiałych żyłach.

Czystą i dziewiczą była jego miłość przyrody. W ciemnych oczach Nikoli spokojnie odbijał się ląd i toń morska i ten boski obraz nie był jeszcze zamącony żadnym grzesznym pragnieniem. To ubóstwianie przyrody nieświadomie z nim rosło i zapuściło korzenie w nagą opokę, co skąpo rodzi, ale gdy wyda pęk trawy lub mały owoc, to wonniejszy od kocanki i słodszy od winnego grona.

Żadna troska, żadne smutne wspomnienie, ni jeden zły czyn nie mąciły trwałego wesela Nikoli. Nawet ów cmentarz nad morzem, którego cyprysy strzegły wiecznego snu, nie przywodziły mu na pamięć przemijalności. Ni pogrzeby, które prawie codziennie spotykał, ni drganie płomieni u gromnic, ni brzmienie dzwonów, ni narzekanie płaczek nie zasmucały mu wesela i niewinnego spojrzenia. Myśl o śmierci była jeszcze daleką.

Nie było dnia, żeby nie przeskakiwał ogrodzenia cmentarza, aby owymi równymi ścieżkami spuścić się na drugą stronę brzegu, w którego groty i pieczary głuchym hukiem uderzały wielkie fale z otwartej toni. Za każdym razem gdy przechodził mimo matczynego grobu, wpatrywał się w złote litery na wielkiej płycie, która pokrywała resztki ukochanej nieboszczki. Litery były napoły wytarte przez deszcz i niepogody. Miejscami poczerniały, a niektóre zupełnie wyblakły. Wykute ich ślady ledwo mogło rozeznać bystre oko.

Niezliczoną ilość razy odczytywał Nikola nagrobny napis, ale w znaczenie owych słów nijak nie mógł wniknąć. Wszystko to było dla niego czymś dalekim, nieznanym i dziwnym i gdy tylko nad grobem przeleciał motyl, albo zaświergotał ptak, czy zaszumiał cyprys, zapominał zaraz o matce i o cmentarzu i zadziwionymi oczyma wpatrywał się znowu w piękny i wesoły boży świat.

Z drugiej strony cmentarza rosły trzciny i za każdym najlżejszym powiewem falowały, zginając cienkie swe wierzchołki. Nikola ścinał je kozikiem i oczyściwszy je z liści, rzucał ze spadzistości na brzeg. Spadzistość była tak stroma, że trzymając się rękami i nogami, ledwo mógł zejść do morza. Leżąc na piasku, robił piszczałkę z najgrubszego końca trzciny, by się wygwizdywaniem jeszcze więcej rozweselić. A gdy mu się i to sprzykrzyło, zdejmował buty i pończochy i bosymi nogami wchodził w morze. Obchodząc czarne skały, zrywał kozikiem skorupiaki, a odłupawszy kozikiem skorupę, łykał je surowe; żeby zaś kąsek był smaczniejszy, zagryzał czarnym domowym chlebem.

I tak próżniaczył aż do nocy.

Na próżno go ojciec karał, a stryj groził mu karą; Nikola słuchał i nie słuchał, a nazajutrz rano, ledwo słońce wzeszło, śmigał już z domu i w okamgnieniu znikał za brzegiem. Nie dogoniłaby go nawet wiewiórka.

Tak próżniaczył od rana do zmroku. Żywił się czarnym chlebem i tym, co ułowił, albo zabrał w cudzej winnicy. Tu figą, gdzie indziej znów winne grona, a gdy mu się nawet tego nie chciało, w dwa skoki znowu był nad morzem, gdzie nazbierał pełny kapelusz skorupiaków czy mięczaków, że dwóch głodnych mogłoby się tym nasycić.

Tak nasycony długo leżał na piasku, twarzą zwrócony ku słońcu, co całą swą siłą biło w skrzącą, spokojną toń. Pod tym południowym blaskiem wszystko robiło wrażenie nagości: i ptaki i zwierzęta i ludzie i skały i drzewa; w najskrytszych kątkach bieliła się czysta nagość niepokalanej przyrody. W tej słonecznej chwale ludzkie odzienie było czymś bezczeszczącym.

Nikola zrzucił koszulę i spodnie i goły — jak go matka urodziła — wspiął się na najwyższą skałę, aby głową na dół rzucić się stąd w przeźroczystą głębię. Oto teraz zawarło się nad nim morze i wodne kręgi szerzą się, ginąc w nieskończoności błyszczącej toni. Daleko od skał wynurzyła się głowa Nikoli. Z czarnych i bujnych włosów ciekną mu jasne i wielkie krople na opalone plecy. Morze go kołysze, miłuje, obejmuje i on nie może oprzeć się pokusie, by jeszcze głębiej i dalej zanurzyć się i na powierzchnię wynieść garść żółtego piasku. Jednego dnia tak zgrabnie skoczył ze skały, że w locie ułowił rybę. Ciskała się biedaczka w jego rękach, jakby była z żywego srebra!

Och! żeby to mógł trzciną lub szelkami łapać ryby! Próbował i białą nitką, ale nić albo mu się zaplątała, albo urywała. A skąd tu bez pieniędzy dostać końskiego włosienia i ołowiu, aby wędka mogła tonąć w głębinie? Nikola zobaczył raz na jarmarku, jak dzieci ciągną konie za ogon i wyrywają im długie włosienie, z których się przędzie nić na szelki. Czemużby i on sam nie miał tego spróbować?

Nazajutrz, jeszcze nim słońce wzeszło, ruszył wprost na jarmark. Tam już całe targowisko wrzało od ludzi, koni, drobiu i bydła i wśród beku, rżenia, kukurykania i wrzasku głodnych osłów, godzili się kupcy, przezywały przekupki, a dzieci czyhały na sposobność, żeby albo ukraść jakie jabłko, albo kamieniem, czy innym psim figlem wyrządzić szkodę któremu chłopu. Początkowo nie mógł się Nikola nijak znaleźć. Przestraszył go

Adágio

W mogiłach ludzie drzemią
Szeleści trawy kiść —
Tą smutną, szarą ziemią
Gdzieś w bezkres trzeba iść —

Gdzieś w dal się błąkać trzeba
Śladami obcych stóp —
Tam także szara gleba
I także czeka grób —

Idziemy siwą ziemią
I dusze łkają w nas —
...W mogiłach ludzie drzemią
I pleśń osnuwa głaz — —

Tehace Alf

piekielny zgiełk, zamęt i krzyki. Ale gdy zobaczył, jak inne dzieci bezkarnie i bez strachu buszują po targowisku, nabrał odwagi i we dwa skoki znalazł się przy rówieśnikach, którzy właśnie w tej chwili zabierali się do końskich ogonów. Nikt szybciej od niego nie targał włosieni. Spocił się ze strachu i napięcia. A że i koniowi nie było lekko, było to widać, gdyż kilka razy otrzepnął się tylnymi nogami. Nikola przestraszył się, a inne chłopaczyska z całego gardła naśmiewały się z niezgrabnego nowicjusza. Ale jemu to nie przeszkadzało. Darł dalej ogon tego samego konia, którego kopyto kilka razy przeleciało mu koło nosa. Dopiero gdy nadarł pełną garść, owinął końskie włosie koło ręki i ruszył w dół targowiska. Zatrzymywał się co chwilę. Nie mógł się do syta napatrzeć temu nieznanemu światu, który huczał w koło niego.

Niedaleko jakiś chłopak trzymał w ściśniętej ręce małego kolorowego ptaszka. Na co mu on? Och, żebyż go mógł choć raz pogłaskać po tej maleńkiej czerwonej główce! Wzruszony przybliżył się do nieznanego rówieśnika. Za ptaszka ofiarował mu „patakun" (cztery grosze), co mu jeszcze w zeszłą niedzielę stryj darował. Chłopak łakomie chwycił ofiarowany pieniądz i dawszy mu ptaszka, wesoło pobiegł ulicą. Nikola pieścił jakiś czas ptaszka, który ze strachu kilka razy boleśnie zakwilił. A potem, ni sam nie wiedząc dlaczego, otwarł dłoń i puścił go na wolność. Ptaszek podleciał płochliwie, jakby próbował, czy go poniosą skrzydła. Ale gdy jakiś pies ujadając poleciał za nim, wzbił się jak strzała wysoko i znikł za najbliższym dachem. Ze strachu zamarło Nikoli serce w piersiach.

Nazajutrz rano omotał Nikola spleciony już sznurek około sporządzonej czworokątnej deszczułki, a na końcu przytwierdził ołów i wędkę na białej hiszpańskiej nitce. Gdyby mu nawet do kieszeni wpadł dukat, nie byłby się bardziej ucieszył. Zapomniał nawet i o chlebie i gdyby stryj, łając go, nie przypomniał mu, żeby obuł buty, byłby boso wybiegł. Ale co tam o to — żeby tylko jak najprędzej znaleźć się na drugim brzegu. Tam czekają na niego ryby i robaki, które wygrzebie kozikiem i rękoma. To jest najlepsza przynęta na ryby, a łatwo je też naciągać na wędkę. Rybie zaś ciężko ściągnąć takiego robaka z haczyka, żeby się sama nie nabiła. Gdy tylko pociągnie mocniej, on szarpnie za sznurek i wyciągnie szybko, by rybka czym prędzej błysnęła w słońcu i poskakała na brzegu.

Nikola był zręcznym rybakiem. Za krótki czas nałowił ryb całą moc. Aby zaś nie zdechły na słońcu, wykopał dla nich na skraju morza małą jamę i ogrodził ją mułem i kamieniami. Znalazły się tu razem, okonie, karpiki i kurki; żeby zaś nie głodowały, wytrząsł im z kieszeni stare okruszyny i dorzucił im kilka robaków.

Nie zapomniał nawet o łódeczkach i zostawiwszy sznur, szukał po wybrzeżu drew i deszczułek, które w czasie burzy wyrzuciło morze. Kosztowało go trudu i zręczności, póki nie wykonał kilku łódeczek. Z masztami i sterem prędko był gotów. Ale najwięcej kłopotu zadawały mu żagle. Żeby to mieć kawałek papieru! Ale co! — posłuży się owymi szerokimi liśćmi, które się zielenią na pobliskim krzaku. Gdy i tego dokonał, napełnił łódki marynarzami; nałapał kilka małych owadów, mrówek i much i powyrywawszy im skrzydełka, załadował na okręty...

Zmęczony rozciągnął się na głazie i byłby się zdrzemnął, gdyby nie to, że zza rogu odezwały się miarowe uderzenia wioseł. Nadstawił lepiej uszu. Słychać było ludzką rozmowę. Widocznie rybacy o coś się sprzeczali. Naraz zginęły głosy i ucichły uderzenia wioseł; to pewno rybacy natknęli się na jakąś ławicę ryb. Dziób łodzi ukazał się zza skały, podczas gdy spód ślizgał się po spokojnej i gładkiej powierzchni, pozostawiając za sobą miękką bruzdę. Pod dziobem wrzało morze i bulgocąc szerzyło się, jakby łodzi z każdego boku wyrastało skrzydło. Łódź podobna była do czarnego ptaka ze skrzydłami serafa.

Obszarpani rybacy spuszczali sieć w morze. Chcieli opasać całą odnogę. W tym świętym momencie biada temu, kto nadaremnie wspomni imię Boże! Skruszeni i korni patrzyli jak ołowie tonęły w głębi. Wiosła ledwo dotykały powierzchni, tyle tylko, aby łódź mogła dotrzeć do owego drugiego cypla, który zamykał wyjście z odnogi. Przeszła chwila i nikt się nie ruszył. Nawet i łódź stoi spokojnie. Wszystko jest napięte jak łuk, nim wypuści strzałę.

I naraz podniosły się cierpkie i chropawe głosy, gotowe do zwady i kłótni. To już wyciągają sieci z morza, a gdy im się wymknie jaka ryba, nie szczędzą imion wybrańców Bożych. Obkolili całą ławicę cypli. Ale zwinne rybki przeskakując sieć. Błyśnie ogon na słońcu i już jej nie ma. Za każdym skokiem sypią się klątwy rybaków, od których — cud Boży! — że się ziemia nie otwiera, a niebo nie wali.

Nikola przeżegnał się dwa razy. Patrzył jeszcze jakiś czas na zapracowanych rybaków i jakoś lżej zrobiło mu się na sercu, gdy z łupem i sieciami nagromadzonymi w tyle łodzi skręcili ku miastu...

Wszystko mdlało pod słonecznym żarem i gdyby w rozżarzone powietrze padła jedna iskra, byłby buchnął pożar. Nikola, oszołomiony gorącem, leżał na piasku. W półśnie słyszał, jak mu koło uszu brzęczą muchy. Odpędza je rękoma, ale muchy napastują go na nowo i spragnionym żądłem kłują jego spocone ciało. Jakiś czas bronił się rękami i nogami, a gdy mu i tego było za dużo, skoczył w morze, by się pozbyć napastników. Wywrócił się na plecy, rozpostarł ręce i pozwolił się fali kołysać i powoli unosić na głębię. A potem targnął się naraz, by ze zdwojoną siłą chwytać morze pod siebie i zwinniejszy od młodego delfina uderzał rękoma po powierzchni, że się aż pieniło naokoło niego. I długo tak pływał, rozkoszując się odrzucaniem wody poza siebie.

Ustawał i czuł, że się zmęczy, nim wróci na brzeg. Zrobiło mu się lżej, gdy poczuł pod nogami płytczyznę. Był głodny i spojrzeniami strzelał na bliższe winnice, gdzie się rumieniły winne grona, a figi pękały z dojrzałości. Nikola wie, że na tym zboczu są największe i najsłodsze grona i już czuje, jak mu pod zębami pęka soczyste i słodkie grono. Schylony nieco, pobiegł do kamienia, pod który, gdy się rozebrał, wetknął ubranie. Gdyby nawet w najbliższy kamień grom uderzył, nie byłby go tak przeraził. Jeszcze raz obszedł skałę, ale z ubrania nie było ani śladu. Gdyby w pobliżu byli ludzie, byłby zapłakał, ale w tym południowym skwarze nawet i świerszcz ustał i oprócz jakichś łodzi na dalekim widnokręgu wszystko inne trwało w bezruchu i gdzieś się pochowało, by nie zginąć pod żarem słońca. Nikola krzyknął, na ile tylko stać było jego gardło, lecz oprócz echa nikt się nie odezwał. W tej ogłuszającej ciszy głos jego ginął, jak ziarno piasku w bezmierności morza. Zasmucone usta zamknęły mu się bezsilnie. Owładnęło nim jedno tylko uczucie. Był opuszczony i nieszczęśliwy jak nikt na tym świecie...

Nadchodził już zmrok, a Nikola ciągle jeszcze stał na tym samym miejscu. A kiedy o pierwszym zmroku goły ruszył do domu, było mu wszystko jedno, co go po drodze czeka. Szedł z pochyloną głową, nie myśląc nawet o niczym, a kiedy dotarł do pierwszych domów, zleciały się za nim dzieciska i gdyby go policjant, który tutaj przypadkowo zeszedł, nie był obronił, byłyby go dzieci okaleczyły kamieniami i kijami. Żeby nawet tysiąc lat żył, nie zapomni tej baby, która go rózgą po piętach schłostała. Nikola zemści się już na niej! Żeby tylko do domu się dostać! Gdy go ojciec i stryj będą karać, z najwyższego okna skoczy na ulicę. Ulitują się pewno nad nim, gdy będzie martwy. Ale ani płacz, ani jęki im nie pomogą. Będzie zimny i nieubłagany i na najpiękniejsze i najbardziej kuszące obietnice nie otworzy więcej oczu... Na wszystkich się zemści... Jeśli kiedy wpadnie na ślad tego łotra, co mu ukradł ubranie, kamieniem mu łeb rozwali!

Ilekroć sobie Nikola wspomni ten wypadek, przykro mu jest, jakby sam był winien swojemu wstydowi. Nie może nawet wytrzymać niczyjego spojrzenia. Za każdy drobiazg ogarnia go wstyd. Gdy mowa jest o jakim przestępstwie lub kradzieży, jemu zapiera dech i krew mu uderza do twarzy. Współwinnym jest wszystkim zbrodniom. Któregoś dnia zalał się łzami, gdyż ojciec nieco ostrzej popatrzył na niego. Im bardziej się łzom bronił, tym mocniej go dławiły. Nawet słowa nie wyszeptał! Trzęsąc się z jakiejś wewnętrznej gorączki i łykając złość, wybiegł z pokoju. A gdy zatroskany ojciec, gładząc go po czerwonawej głowie, zapytał co go boli, Nikola wzruszył ramionami i wybuchnął konwulsyjnym płaczem. Och, żebyż mógł umrzeć!

I w nocy, gdy się przebudził, myślał o zemście. Na tej babie, która go rózgą po gołych nogach schłostała, okrutnie się zemści. Jakaż ona szkaradna i brudna! Wyszczerbiona, zezowata, chuda, a ręce z długimi, czarnymi pazurami, jakby były stworzone, by męczyć małe dziecko. Nikola zna także i dom, w którym mieszka ta czarownica. Jest w nim mała dziewczynka, piękniejsza od anioła. Ma modre oczy i czerwono złociste włosy. Pewnie i ją ona męczy. Gdyby Nikola był na miejscu tej dziewczynki, uciekłby z domu i nie wróciłby już nigdy więcej. Bóg raczy wiedzieć, gdzie są jej rodzice. Może być, że ją starucha ukradła. Jego babka opowiadała mu o kobietach, które kradną ładne i dobre dzieci!

Ale jakże dziewczynka ucieknie, kiedy ta czarownica nawet na przechadzce trzyma ją za rękę. Jednego wieczoru, gdy pierwszy zmrok zapadł, smykał się Nikola pod jej mieszkaniem. Chciał już rzucić kamieniem, aby jej przynajmniej, gdy inaczej nie może się zemścić, szybę kamieniem rozbić, ale w tej chwili, cała rozczochrana i blada, ukazała się w oknie męczycielka małego dziecka. Ze strachu nie rzucił kamieniem, lecz ile sił miał w nogach, począł uciekać ku domowi i dopiero gdy stanął na progu, obejrzał się by zobaczyć, czy starucha za nim nie biegnie. Tej nocy goniły go we śnie czarownice...

Drugim razem lepsze miał szczęście. Zebrał w jedną gromadę wszystkich swoich rówieśników, którzy od rana do nocy napastowali spokojnych przechodniów. Postanowili zgodnie, że oswobodzą ową dziewczynkę. Nikola widział na swoje własne oczy, jak ona ją bije i szarpie za włosy. Gdyby jego nie było, umarłaby już dawno z głodu. Codziennie przynosi jej kawałek chleba. Tego czarnego, co pieką w domu.

Opowiadanie Nikoli napełniło wszystkie dzieci lękiem. Gdy otoczyli ten straszny dom, byliby najchętniej wzięli nogi za pas i zmykali, jak który najprędzej potrafił. Ale Nikola im nie dał. Jemu też nie lekko na sercu, a jednak zachęca ich, dzieli rozkazy i czyha tylko na chwilę, aż ulica będzie pusta. Pierwszy porwał i rzucił kamień, a za nim deszcz kamieni uderzył w okna. Na dźwięk rozbitych szyb wybiegli mieszkańcy, ale gdyby nawet mścicielom wyrosły były skrzydła, nie byłby się za nimi prędzej ślad stracił.

Nie dowiedziano się o właściwych winowajcach. Zginęliby prędzej, niżby jeden drugiego wydał. Trochę batów i policzków lekko przecierpieli. Główna rzecz, żeby się czarownica nie dowiedziała ich nazwisk, bo zemściłaby się na nich wszystkich...

Wtedy pierwszy raz w życiu Nikola skłamał. Nawet się nie zaczerwienił i bez drgnienia wytrzymał spojrzenia swoich domowników. Czemu go męczą? On nawet o niczym nie wie. Czy to on winien, że jakieś huncwoty rozbiły babie szyby? Właśnie tego popołudnia z kolegą Marinem łapał okonie za Sustjepanem. Widzieli ich rybacy, którzy czyhali na tuńczyki...

Gdy się tylko spotkał z towarzyszami, Nikola pierwszy zabierał słowo o ich mścicielskim czynie. Rosła w nim duma. Przecież i on coś potrafi! Niech się go baba strzeże! Lepiej dla niej, żeby dała spokój, bo inaczej, przy pierwszej sposobności spotka ją coś jeszcze gorszego. Biada tej czarownicy, jeśli będzie dalej męczyć porwaną dziewczynkę. Łatwiejsza byłaby sprawa, gdyby Nikola wiedział, gdzie są jej rodzice. Wybrałby się zaraz w drogę i nie jadłby ani odpoczął, póki by ich nie znalazł. Powiedziałby im wszystko! Rodzice wróciliby zaraz z nim z powrotem i jeszcze tego samego dnia oswobodziliby swoją córkę. Przyjdzie dzień zemsty! Nikola już wie nawet jak tej dziewczynce jest na imię. Nazywa się Anusia. Na własne uszy słyszał, jak na nią baba wołała z okna. Ale nie powiedział tego swoim kolegom. Nikola był mocno przekonany, że jej imienia, oprócz jego i baby, nikt na świecie nie zna. Będzie strzegł tajemnicy i choćby go na śmierć zasądzili, nie zdradziłby tego imienia...

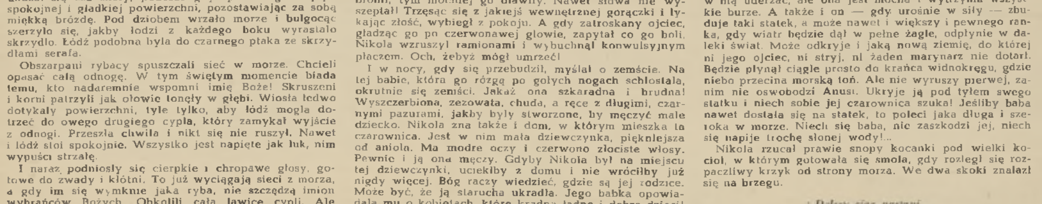
A także gdy ojcu w warsztacie pomagał, zamyślał się często bez oczywistego powodu. Oto już kilka tygodni uczy się rzemiosła. Pilny jest i posłuszny, a gdy mu się coś uda, przemienia się cały na twarzy z radości. Zaczerwienił się jak rak, gdy go stryj pierwszy raz przed robotnikami pochwalił. Sam wyheblował deskę, nad ogniem ją zaokrąglił, przygiął i własnymi rękoma przytwierdził gwoźdźmi do boku łodzi. Bóg wie, w jakie kraje deska ta popłynie! Najzawziętsze bałwany będą w nią uderzać, ale ona jest mocna i wytrzyma wszystkie burze. A także i on — gdy urośnie w siły — zbuduje taki statek, a może nawet i większy i pewnego ranka, gdy wiatr będzie dął w pełne żagle, odpłynie w daleki świat. Może odkryje i jaką nową ziemię, do której ni jego ojciec, ni stryj, ni żaden marynarz nie dotarł. Będzie płynął ciągle prosto do krańca widnokręgu, gdzie niebo przecina morską toń. Ale nie wyruszy pierwej, zanim nie oswobodzi Anusi. Ukryje ją pod tyłem swego statku i niech sobie jej czarownica szuka! Jeśliby baba nawet dostała się na statek, to poleci jaka długa i szeroka w morze. Niech się baba, nic zaszkodzi jej, niech się napije trochę słonej wody!...

Nikola rzucał prawie snopy kocanki pod wielki kocioł, w którym gotowała się smoła, gdy rozległ się rozpaczliwy krzyk od strony morza. We dwa skoki znalazł się na brzegu.

Dalszy ciąg nastąpi

MOTEK SIĘ KĄPIE

Rys. i tekst: Pawt.



Motek jest uszczęśliwiony,
Bo ma kąpiel co się zowie.
A że bywa roztargniony,
W kapeluszu wszedł na głowie.

Więc go wiesza — ręką sięga —
Na kran obok dla wygody.
Nie przypuszczał, niedołęga,
Że mu strumień spadnie wody.

Tusz się leje na wsze strony
Motek więc ratunku wzywa.
Knotek słysząc rzewne tony
W czas na pomoc mu przybywa.

Miast zakręcić kran przebrzydły
Motka darzy parasolem.
Wyszło w końcu z worka szydło:
Wyprowadził Motka w pole.

OBRAZKI ZE LWOWA





Fot. Ilustrowany Kurier Polski

Z podróży naszego fotografa po dystrykcie lwowskim

W PODWORCU LWOWSKIEGO WIĘZIENIA BRYGIDEK
Oto kąt więzienia, gdzie skazani przez bolszewików na śmierć więźniowie byli rozstrzeliwani przez bolszewików. Na ścianie otynkowanej w międzyczasie na nowo znać jeszcze ślady kul.

Na lewo:

POWRÓT
Oto jeden z pomiędzy ludności Galicji, którą tysiącami wciągano przymusowo do armii sowieckiej. Został on schwytany pod Aleksandrowskiem i teraz wraca do swojej zagrody.

Na prawo:

SPOTKANIE Z OJCZULKIEM STALINEM
Nasz fotograf znalazł go w sieni pewnego domu we Lwowie, w rynku i uwiecznił ten zabytek muzealny na kliszy.

W kole:
TYPY LUDOWE NA PLACU TARGOWYM W RUDKACH





Poniżej:
WIEŚNIACZKI NA DRODZE DO SAMBORA PRZY MIĘDLENIU LNU

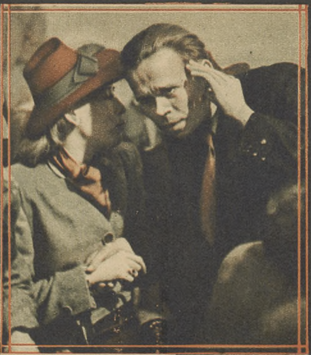




Na prawo:
W okolicy dotkniętej powodzią. Ruch został skierowany przez most tymczasowy, gdyż most na rzece Wiśni został zniesiony przez rwący żywioł.







„Gdzie znajduje się mój narzeczony!" — szepce klientka do ucha hypnotyzera, na co odpowie medium.

U góry w środku: „Czy znajdę dobrze płatną posadę!"

Powyżej: „Kto ukradł mi bieliznę ze strychu!"



Na lewo: Przy pomocy zwierciadła, oświetlonego dwoma nikłymi płomykami świec, dokonuje się sztuczki kuglarskiej znanej pod nazwą „głowy na półmisku".



Poniżej: Z rąk hypnotyzera promieniuje fluid na medium telepatyczne wyrażając się następnie w formie odpowiedzi.

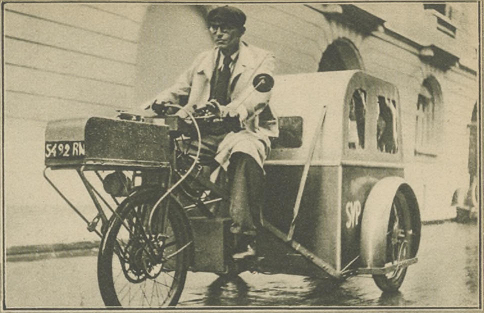
Fot. Borek

W WIĘZACH MAGII

W świecie naukowym długo spierano się o to, jakiego rodzaju mogły to być przyczyny, które powodowały pełne tajemnicy orzeczenia wyroczni delfickiej. Kto dziś stanie w tym miejscu, na którym niegdyś na złotym trójnogu siadywała Pytia nad szczeliną w ziemi, która już dawno zniknęła, na próżno stara się przeniknąć tę tajemnicę. Prawdopodobnie była ona jednak natury bardziej realnej i dziś jesteśmy skłonni przyjąć z dużą dozą słuszności za powód tych orzeczeń, jeżeli nie oszustwo to jednak wpływ wydobywających się ze szczeliny gazów, które wprawiały kapłankę w tajemniczy trans, podobnie jak się to dziś dzieje z medium. Jej przepowiednie zresztą były równie dwuznaczne jak w starożytnym Rymie wróżby augurów z lotu ptaków i haruspików z wnętrzności bydła. Na podstawie pewnego ustępu w pismach Katona starszego charakteryzującego ich często wkradające się oszustwa mówiono już wówczas o uśmiechu augurów. I jak wówczas już ludzie w swej niemocy zdarcia zasłony z przyszłości tłomaczyli sobie tego rodzaju dwu- i wieloznaczne przepowiednie, zawsze chętnie na swą korzyść a skutkiem tego często fałszywie, tak również dzieje się to po dziś dzień. Jest rzeczą obojętną, czy chodzi tu o wnętrzności bydła, fusy z kawy, rzekome telepatyczne zdolności osób medialnych, czy też zawodowych wróżbitów starożytnej Grecji. Czyż udało się kiedy astrologowi, kabalarce, wróżce lub medium przepowiedzieć własną przyszłość! W Niemczech np. w roku 1934 zabroniono w ciągu jednego dnia wszystkim tym ludziom uprawiać swe rzemiosło i żaden z nich nie potrafił tego naprzód przewidzieć.

Oczywiście są rzeczy między niebem a ziemią, których samym rozumem, kierując się jedynie rozsądkiem pojąć nie można. Ale jest to także rzeczą całkiem pewną, że przy wszystkich przepowiedniach kryje się więcej oszustwa niż prawdy. I większość tak zwanych mediów, które utrzymywały, że posiadają zdolności jasnowidzenia, albo zdolność komunikowania się rzekomo ze zmarłymi i zaginionymi, została w końcu zdemaskowaną jako oszuści i szarlatani umiejący zręcznie wykorzystać łatwowierność ludzką, którzy ciągnęli korzyści ze swej lepszej niż inni znajomości ludzi i obserwacji psychologicznych i wodzili dzięki temu innych ludzi za nos. Nie chcemy jednak przez to krytykować poważnych badań zjawisk nadzmysłowych, problemów okultystycznych, telepatycznych i innych. Ale do dziś dnia wydobyły te badania niesłychanie mało, mimo wszelkich usiłowań wielu uczonych. Zapewne, istnieją osoby o nadprzyrodzonych zdolnościach — zresztą trafiają się one bardzo rzadko — musimy jednak powiedzieć, że Bóg nie pozwala nikomu zaglądnąć w swe plany, tak samo jak dobrotliwie otacza przyszłość człowieka zasłoną nieświadomości.





PRZESZŁOŚĆ I TERAŹNIEJSZOŚĆ
Na bulwarach paryskich spotyka się wóz z napędem elektrycznym ze staroświeckim omnibusem konnym.

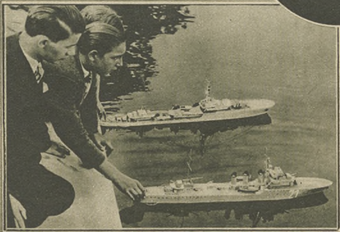
KONKURS MINIATUROWYCH STATKÓW
W Paryżu odbył się doroczny konkurs stateczków zbudowanych przez młodocianych żeglarzy.

ZYGZAKI

I JESZCZE TERAŹNIEJSZOŚĆ
Ten dziwaczny jak na dzisiejsze czasy pojazd poruszany jest za pomocą baterii elektr. a rozwinąć może szybkość 55 km/godz.

NAJMNIEJSZY DOM PARYSKI
Tak wygląda on przynajmniej od ulicy, ma bowiem tylko szerokość jednego okna. Prawdopodobnie sięga on jednak daleko w głąb.





Fot. Atlantic 2
Scherl 2
Weltbild 1



MOZART W PROTEKTORACIE
Na 150 rocznicę śmierci Mozarta wydane zostaną w Protektoracie Czech i Moraw specjalne znaczki, z widokiem teatru, w którym wystawiono operę Mozarta „Don Giovanni".





SPLEEN

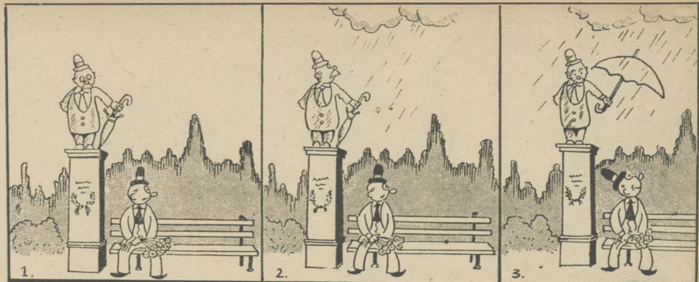
— No i co? poślubi pan tę bogatą pannę Alę?

— Nie. Ona, tak jak Angielki, ma pewnego spleena.

— Jaki?

— Że mnie nie chce.

Gospodyni do sublokatora: — Czy pan lubi kanarki, proszę pana?
Sublokator: — Owszem, proszę pani, jem wszystko.



Mężczyźni jednak solidaryzują ze sobą.
(Il. 420, Włochy)



— *To jest rzeczywiście model kapelusza o charakterze wybitnie indywidualnym, mężusiu!*
(New Yorker, Ameryka)

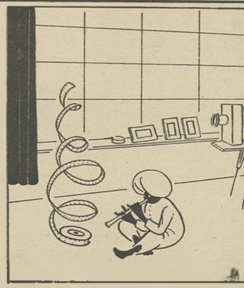
Portier hotelowy przynosi nowemu gościowi księgę hotelową. Gość czyta i czyta, aż wreszcie portier ma już dość czekania. Zwraca się więc uprzejmie do gościa: — Czy mógłbym prosić o wpisanie swego nazwiska?

— No wie pan, czy pan sobie wyobraża, że podpiszę coś, czego nie znam!

NIC WAŻNEGO

— Więc twój dziadek miał już dziewięćdziesiąt sześć lat? A na co umarł?

— Nie mogę ci powiedzieć. Wiem jedynie, że nie było to nic niebezpiecznego.



Fotograf hinduski rozwija film.
(Harania)

Janek i Franek nocowali wspólnie w jakiejś gospodzie.
Rano mówi Janek: — Okropna noc. Nic nie spałem. Ani oka nie zmrużyłem.
— No pewnie, — odpowiada Franek. — Jeżeli nawet oka nie zmrużyłeś, to jakże chciałeś spać.

POJĘTNA

Nauczyciel stara się wytłumaczyć uczennicom przysłowie: podzielona radość jest podwójną radością. Po długim objaśnieniu zwraca się do jednej z uczennic, by dała mu przykład na to. Uczennica zastanowiwszy się trochę powiada: — Gdy otrzymam kawałek czekolady, podzielę go na dwie części, jedną zjem pierwszego dnia, drugą zaś następnego.

— Wracam prosto z Jamaiki — mówi marynarz do kolegi.
— To też się zaraz czuje.

— Popatrz, Heniu, jaką śliczną małą siostyczkę kupiłem dla ciebie, — mówi ojciec do synka.
— Czy masz może jeszcze odcinek kasowy? — pyta synek przyglądnąwszy się nowej siostrzyczce.
— Dlaczego? — dziwi się przerażony trochę ojciec.
— No bo możesz ją jeszcze wymienić. Wolę braciszka.

Jakiś chłop zbierał grzyby. Drogą przez las jechał lekarz.
— Ostrożnie, człowieku — powiedział lekarz — jest tu wiele grzybów trujących. Mógłbyś umrzeć.
— Eh, nie, zbieram je żeby je sprzedać w mieście.



— *Nie miałem pojęcia, że tu jest tak miło! Nie byłbym wcale tak bardzo uważał na swoją wątrobę.*
(Esquire)

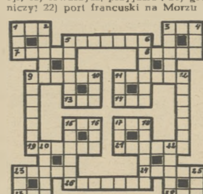
Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA, ul. K. Mazur

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1) skorupiak, 3) zabawa taneczna, 5) błazen, pajac; 7) stopień oficerski; 8) zasłona; 9) przyrząd astronomiczny do mierzenia kątów; 11) morze, wcinające się w ląd; 13) ang. miara gruntu; 14) pierwiastek chemiczny; 16) wąż; 17) roślina; 19) odmiana psów; 21) zasłona u okna; 23) rodzaj łodzi; 24) płaski statek rzeczny; 26) flaga okrętowa; 27) płynący lód; 28) przyimek.

Pionowo: 1) mocny trunek; 2) lekka łódka; 3) odmiana stylu architektonicznego, 4) roślina; 5) łukowe sklepienie na filarach; 6) napój bogów, 9) jadalny małż morski; 10) zwierzę; 11) spółgłoska (fon.); 12) część świata; 15) drzewo afrykańskie; 16) imię cygańskie, 17) burmistrz we Francji; 18) towarzysz, przyjaciel; 20) gruczoł wydzielniczy; 22) port francuski na Morzu Śródziemnym; 23) zbiornik; 25) pierwiastek chemiczny.



KWADRAT MAGICZNY
ul. J. B. z Warszawy



W podanym kwadracie rozmieścić w ten sposób liczby od 1—16, aby suma cyfr w każdym rzędzie poziomym, pionowym i po przekatniach wynosiła: 34.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 42.
Krzyżówka

Poziomo: welin, Mazas, Urjel, dr, Ra, uzurpator, el, re, arkan, laird, alumn, jurka, almagesta.

Pionowo: watażka, nukleina, manipula, zac, stenoid, Luizjana, draperia, patolog, tek, ar, om.

ILE GĘSI?

Gęsi było tylko trzy.



Fot. Gustav Althoff-Film

W zaułkach wielkiego miasta czai się zbrodnia. Ofiarą jej pada młoda, ładna dziewczyna Helena Hoesch. Co było motywem zbrodni? Kto jest jej mordercą? Rozwiązaniem tych zagadnień zajmuje się komisarz policji Petersen. Jest to zadanie ogromnie trudne, gdyż koło Heleny za życia przewijał się tłum osób, ścierały się silne namiętności. O jej względy ubiegało się dwóch kolegów-lotników, którzy nie kryli wzajemnej niechęci. Podejrzenie pada na jednego z nich Flüggera, którego widziano ostatnio w towarzystwie Heleny. Na podstawie silnych poszlak zostaje on aresztowany. W jego niewinność wierzy jedynie Vera Kaufmann, bardzo wdzięczna postać kobieca o gorącym sercu, pełna poświęcenia. Komisarz Petersen nie jest też zadowolony z dotychczasowych wyników śledztwa. Przeczuwa on, że za tym morderstwem kryje się jakaś wielka tajemnica. Dzięki wytrwałej pracy z narażeniem nieraz własnego życia udaje mu się odkryć mordercę a zarazem przywódcę szajki przestępców podziemnego świata Berlina. Rolę komisarza odgrywa w sposób niezrównany Karol Martell. W roli Very występuje Maria v. Tasnady, Heleny — Hilda Sessak.